


ROK IV.
Kraków, dnia 1-go Maja 1910 r.
**Nr. 18.**

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Przedpłata:** Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli“, Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Numer pojedynczy 10 halerzy.

# TRZECI MAJA 1791 R.

Na zamku, w sejmowej sali
Rojno, gwarno gdyby w ulu;
To posłowie się zebrali,
Stanął Naród przy swym Królu.

Świta lepszych dni zapowiedź,
Kraj ich czeka i Warszawa;
Dziś ma Naród ustanowić
Dla swych stanów nowe prawa.

Dziś grzeszna Rzeczpospolita
Dostępuje absolucyi:
Wstał mąż i akt głośno czyta
Wiekopomnej Konstytucyi.

A Sejm słucha: — W Imię Boga
W Trójcy Świętej jedynego*) —
Dla Twej chwały Polsko droga
I dla dobra ludu twego.

Ninie ustawę rządową
Niewzruszenie uchwalamy,
I na każde w tejże słowo
Uroczyście przysięgamy.

I wymienia po porządku
Artykułów jedenaście;
Więc Religia na początku.
Po niej prawa każdej kaście.

Więc dla ziemian, miast, wieśniaków,
Rozrodzonych w wioskach licznych,
Potem skład rządu Polaków
Z oznaczeniem władz publicznych.

A więc: władzę prawodawczą
Sejm sprawuje w pierwszym rzędzie,
Król zaś władzę wykonawczą
Ze Strażą Praw dzierżyć będzie.

Sądownictwo w myśl ustawy
Jest zadaniem władzy trzeciej;
Potem regencyjne sprawy
I wzgląd na królewskie dzieci.

Los ich został ustalony;
Wreszcie artykuł końcowy
W całości jest poświęcony
Sile zbrojnej narodowej.

Uchwalony tron „dziedziczny“;
Pociesz się Narodzie przeto;...
A powód klęsk ustawiczny
Zniesione „Liberum veto“.

Skończył czytać. W wielkiej sali
Zapał wszystkich wstrząsł sercami:
— „Królu! Nowymi“ — wołali —
„Związkami połącz się z nami!“

Pojaśniały wszystkie czoła,
I radości nie masz tamy...
Przysiągł Król, z nim Naród woła:
— „Przysięgamy! przysięgamy!“

I słoneczne błyski wstają
Nad tym pszczółek polskim ulem...
Okrzyki się rozlegają:
— „Król z Narodem! Naród z Królem!“

Wiwat twórcy dzieła tego!
I ci, którzy je przyjęli,
Bo Ojczyznę z nieszczęsnego
Położenia wydźwignęli!

I z Warszawy okrzyk płynie
Ponad całym polskim krajem:
— „Niech słyną w naszej dziedzinie
Małachowski z Kołłątajem!“...

O, dniu chwały wiekopomny!
Przodków naszych testamencie,
Niechże praw twych wiek potomny
Strzeże i dochowa święcie.

Cześć szlachetnym przodków cieniom!
Twórcom dzieła tak wzniosłego...
Pokolenia — pokoleniom
Podajcie pamięć dnia tego!

*Jacek Obrochta.*

*) Od tych słów zaczynał się akt wiekopomnej Konstytucyi.

# Krzyżacy na Litwie.

## XXI. NIESZCZĘŚLIWY ŁOWIEC.

Przechadzki Pojaty. — Strój liściasty. — Nieznajomy myśliwiec. — Pojata prowadzi go do Kiernowa. — Zaloty nieznajomego. — Wielka uczta na zamku. — Książę Daniel n Lizdejki.— Pojata daje się poznać. — Zmieszany książę. — Wyjazd w inne lasy.

Już jesień różnymi kolory barwić zaczynała drzewa okolicznych gajów. Pojata z upodobaniem zapuszczała się nieraz w las gęsty, żeby odwiedzić ścieżki, które niedawno przechodziła z Trojdanem. Raz pod wieczór usiadłszy na usłanym liściem pagórku, zbierała z niego najpiękniejsze i tworzyła z nich różnych cieni wstęgi, stroiła w nie głowę i całą wdzięczną swą postać. Tak upstrzona Pojata, śmiejąc się sama z siebie, przebiegała gaj drzew młodocianych, tego tylko żałując, że ją Trojdan w tym stroju nie widzi. Ufając swym nogom, że za dnia jeszcze zdąży do domu, pobiegła do bliskiego zdroju, aby się sobie przypatrzyć.

Zaledwie stanęła u brzegu, nagle słuch jej uderzył dźwięk trąbki myśliwskiej i psów gończych granie. Chociaż ten odgłos znacznie zdaleka przychodził, nie podobał się jednak dziewicy, lękała się bowiem, aby zwierz napędzony w jej stronę, nie wypadł na nią; szukała zatem najbliższej drogi do wyjścia na pole, gdy niespodziewanie spostrzegła przedzierającego się przez krzaki myśliwca na koniu, który ją zoczywszy zawołał:

— Dzięki bogom! przecież jakaś żywa dusza!

Zatrzymał się, skoczył z konia, a dwa ogromne ogary, ziejąc pianą, zmordowane legły u nóg jego. Myśliwiec był jeszcze dość młody, miał na sobie ubiór przystojny, łuk zawieszony przez ramię i oszczep w ręku.

— Witaj, śliczna Lasdono![1]) cześć i chwała tobie! — zawołał, zdejmując czapkę i ocierając pot z czoła! — Jakżeś piękna w tej leśnej odzieży! Gdybym był miał szczęście z rana cię ujrzeć, możeby się lepiej mym łowom powiodło; teraz niestety! z próżnymi wracam trokami[2]), a co gorsza, nie wiem, gdzie się znajduję. Bądźże tak dobra, powiedz mi, czy daleko ztąd do Kiernowa?

— Do Kiernowa? — powtórzyła zdziwiona Pojata. — Wszakże Kiernów kilka kroków za temi drzewami.

— Czy to być może, Kiernów za temi drzewami? Jeżeli tylko nie jesteś duchem zwodniczym i nie masz zamiaru obłądzać i tak już zbiedzonego myśliwca, tobym cię prosił, abyś mnie na drogę wyprowadzić chciała. Patrz tylko na mego kasztana i te poczciwe sobaki, jak srodze zmęczone! Wyprowadź nas z tej gęstwy, ja cię za to zwierzyną opatrzę.

Pojata nie wiedziała, co czynić. — Obietnica myśliwca opatrzenia zwierzyną, której wcale przy nim nie widziała, nie bardzo korzystnie zalecała jego sposób myślenia, tembardziej iż przed chwilą sam wyznał, że próżne ma troki. Zostać jednak na miejscu przy zapadającej nocy większem było niebezpieczeństwem, który, prócz samochwalstwa, właściwego myśliwym, nie zdawał się zasługiwać na niedowierzanie. Śmiało więc idąc naprzód, prowadziła go znanemi ścieżkami. Gdy już wyszli na pole otwarte, Pojata, ukazawszy Kiernów, w przeciwną stronę udać się chciała; zmartwiony myśliwiec, widząc ją odchodzącą, stanął jak wryty i oglądając się na wszystkie strony, wołał za przewodniczką:

— Śliczna Lasdono! albo zdejm z mych oczu te czary, albo mnie na lepszą wyprowadź drogę, bo przysięgam, że nic, prócz ciebie, nie widzę.

— Tylko mnie proszę nie nazywać Lasdoną, ja jestem prostą Kiernowa wieśniaczką — mówiła, wracając Pojata. — Jeżeli chcecie koniecznie, bardzo dobrze; zaprowadzę was tam, gdzie się gościniec zaczyna; jednak mocno się dziwię, że nie widzicie tej kupy murów, która w oczy tak bije. Wszakże to nie jest jeszcze tak ciemno.

Potem rozmawiali, idąc przez łąkę. Koń prowadzony postępował za panem, a psy mu wiernie towarzyszyły po bokach. Słońce już było zaszło zupełnie, ale noc jeszcze nie spadła. Pojata próbowała nieraz kroku podwoić, myśliwiec widząc jej pośpiech, skarżył się na zmęczone nogi i był przyczyną, że przewodniczka wolniej iść musiała.

— Teraz już, spodziewam się, że gdyby wam i oczy zawiązano, trafilibyście do Kiernowa — mówiła, wyprowadziwszy go na bity gościniec. — To są mieszkania rybackie, tu się stary wał zaczyna, a tam dalej zamczysko. Bądźcie więc zdrowi, niech was bogowie prowadzą!

— Nic nie widzę, ni drogi, ni wału, ni zamku— założywszy ręce, odpowiedział myśliwiec.

— Chyba żartujecie ze mnie — rzekła urażona Pojata.

— O bogi przedwieczne, coście mnie krótkim wzrokiem skarały — zawołał żałośnie — sprawcie przynajmniej, aby ci co dobrze widzą, uwierzyć chcieli, że można mieć oczy i jeszcze być ślepym! Miła panno! chciejże pokazać gdzie jest ten Kiernów przeklęty, a ja ci sowicie wynagrodzę.

— Ale jakże ja mam go pokazać, kiedyśmy już w Kiernowie? — rzekła, śmiejąc się, Pojata.

— Tylko te kilka kroków, bo tu wszędzie słyszę do Wilii jak z pieca. Bylebym się raz dostał do wrót zamkowych, przestanę ci być natrętnym. Ale powiedzże mi, czy zawsze tam mieszka stary Lezdejko?

— Zawsze — odpowiedziała Pojata.

— I jego córka jest przy nim?

— Jest przy nim nieodstępnie.

— To dobrze. Stary nie darmo jest Krywekrywejtą, że na gody do Wilna nie jechał. Ale, bo też to wesele było, ni w pięć ni w dziesięć. Nie woleliż byli wydać Aksenę za Daniela, niż za tego słomianego rycerza, Nie zostałaby wdową, a Jagiełło byłby jeszcze panem.

— Zapewne! ale cóż kiedy go upodobać nie mogła księżniczka!

— Ważna, choć bardzo dla niej nieszczęsna przyczyna — odpowiedział myśliwiec. — Ale kiedy Lezdejko nie jechał, pocóż było córkę posyłać? Biedna dziewczyna, musiała się okrutnie przestraszyć?

— Miała ona takich, co jej pomoc nieśli.

— Bardzo temu wierzę. Ładna i zalękniona dziewczyna, któżby się na jej ratunek nie rzucił!

— Czy ją znacie? — zapytała zdziwiona Pojata.

— Czy ją znam? O moja miła! gdzież jest piękna dziewczyna, którejbym nie znał! Ale powiedzże mi, czy zawsze Pojata tak nieprzystępna?

---

[1]) *Lasdona,* litewska bogini orzechów.

[2]) *Troki,* rzemienie lub łyka około siodła, na których uwiązywano ubitą na polowaniu zwierzynę.

— Myślę, że ma przyjaciół, znajomych, dla których nie jest obojętną.

— Upadek Jagiełły musiał ją bardzo zasmucić; nadzieja zostania wielką księżną litewską przepadła na wieki! Bardzo go żałuję. Co też to była za nieroztropność tak się Krzyżakom powierzać?

— Zapewne jest to wielka nieroztropność, ale kiedy tak dobrze znacie Pojatę, powiedzcież mi, czy to prawda, żem do niej podobna?

— Bajka, moja miła! ty jesteś bez porównania od niej ładniejszą. Zapewne, bogaty strój Pojaty wiele się do jej wdzięków przyczynia, ale niechnoby ciebie w jej szaty ubrano, dopierobyś poznała, czem jesteś.

— Powoli, powoli — przerwała Pajota — jesteśmy w blizkości Krywekrywejty, który słyszy każde słowo i bogom je zaraz odnosi. Do tego córka jego nieprzezwyciężoną nas przejęła odrazą słuchania wszystkich grzeczności zalotnych.

— To źle, to tak źle, iż gorzej być nie może — rzekł urażony myśliwiec. — Życzę ci więc z temi żywemi oczkami, z tą buzią okrągłą, jak najprędzej wybić się z pod praw Pojaty, opuścić te gruzy i udać się w swobodniejsze strony. Oto wiesz co? ja jestem otwarty człowiek i lubię być wdzięcznym. Tyś mię wywiodła z tej puszczy, ja cię chcę wywieść z tego więzienia i najszczęśliwszą przyszłością obdarzę, chciej tylko jutro rano na tem się miejscu znajdować, przy tej baszcie, ja tu nadejdę; no, cóż zgoda, przy tej baszcie?

— Dobrze — rzekła przewodniczka — tylko się boję, żebyście co innego za basztę nie wzięli. Ale oto już i most u bramy.

— Co, most? Ach prowadźże mię dobrze. Spróchniałe zapewne mościsko ledwie się trzyma. Zmiłuj się, żebym nigdzie nie zapadł. Ale się jeszcze nie żegnamy, nieprawdaż? Przecież muszę ci oddać dobranoc.

Pojata, wchodząc za myśliwcem w bramę, znikła mu z oczu i stanąwszy w cieniu za murem, niewidzianym, jak żyje w Kiernowie, została uderzoną widokiem. Cały prawie dziedziniec był oświetlony; ogromne ognie, rozłożone na wałach zamkowych, mocne rzucały światło na całe przestworze; kucharze, zatrudnieni przyprawą zwierzyny, uwijali się około ogniska, środkiem dziedzińca rozpięte stały namioty, rzęsisto wewnątrz oświetlone, a długie stoły, do wieczerzy przykryte, odbijały się blaskiem naczyń srebrnych i złotych. Na rozpostartych na ziemi dywanach spoczywali panowie myśliwi, wesoły gwar czyniąc przy pełnych puharach, gdy tymczasem czeladź myśliwcza, na uboczu dwór osobny składając, środ zgrai koni, psów, sokołów i pojazdów, używała wczasu.

Nie mogła zrazu pomiarkować Pojata, co ten zgiełk znaczy; lecz wkrótce domyśliwszy się, iż to być musi dwór któregoś z polujących książąt, przypatrywała się z upodobaniem jego pięknej wystawie Tymczasem myśliwiec, wiodąc śmiało swego konia środkiem dziedzińca, zawołał:

— Hola, weźcie mi konia!

Natychmiast szmer powstał w całem zgromadzeniu; przyskoczyli służalcy, jeden konia odebrał drugi łuk zdejmował, inny głaskał strudzone ogary. Panowie też zerwawszy się z miejsc swoich, niezwłocznie wchodzącego otoczyli, pytali troskliwie gdzie tak długo bawił i czy nie doznał jakiego przypadku; słowem całe zgromadzenie myśliwcem tylko było zajęte.

— Wam tu dobrze — rzekł przybywający — polujecie na zwierzynę u różna i w pełne puhary trąbicie; kiedy ja, zagnawszy się za rogaczem, ledwiem nie przepadł na błotach. Cały dzień mię licho jakieś wodziło. Już myślałem, że będę musiał gdzie pod jodłą nocować, kiedy bogowie zesłać raczyli śliczniuchną czarodziejkę, która mnie z koniem i psami z najgłębszej puszczy w okamgnieniu do tego zamku przyniosła.

Natychmiast dworzanie, wziąwszy myśliwca pod rękę, poprowadzili go do jego namiotu. Pojata, ciągle stojąc w ukryciu, z ciekawością przypatrywzła się zabiegom, które mu czyniono, i poznała że ten, z którym tak poufale mówiła, musi być wielkim panem i naczelnikiem całej tej drużyny. Dziwiła się mocno, iż nieprzypominała sobie, żeby go kiedy w Wilnie widziała; lecz gdy spostrzegła, że się w odwiedziny wybiera, prędko wróciwszy do siebie, zrzuciła liściane ozdoby i przyzwoiciej ubrana udała się do ojca, czekając na przybycie gościa.

Zastała już tam kilku kapłanów, rozmawiających ze starcem o noclegującem myśliwstwie. Wszedł nakoniec nieznajomy pan z licznym dworzan orszakiem, a wiedząc, że Lezdejko jest osłabiony na wzroku, zbliżył się do niego z uszanowaniem i głośno opowiadał się księciem Danielem, siostrzanem Kiejstuda; że przyjechawszy w te strony na łowy, chce ich knieje oczyścić ze szkodliwego zwierza, a za najpierwszy obowiązek wziął złożyć hołd winny czcigodnemu naczelnikowi wiary.

— Ja to — rzekł, powstając starzec — powinienem był pierwszy was, szanowny panie, odwiedzić, jako siostrzana pana i księcia naszego, i pewniebym nie dał się uprzedzić, gdyby mi moje oczy na przeszkodzie nie były. Ale kiedy mię już wasza łaska ubiedz raczyła, bądźcież miłym nam gościem, raczcie usiąść i powiedzcie, jak się powodzi księciu, jego wujowi na nowej stolicy?

— Od pół roku nie widziałem już wuja — odpowiedział książę — i ztąd tylko wiem, że jest panem Litwy, bo mi przysłał pozwolenie polowania we wszystkich jej lasach. Co do mnie nie staram się o podbijanie zamków, nie lubię wojskiem dowodzić i bardzo jestem szczęśliwy, kiedy mam około siebie kilkadziesiąt mil puszczy, w której mogę wygodnie polować, chociaż dniem dzisiejszym nie bardzo się mogę pochwalić. Pięknyż to kawał kniei! Dziki i jelenie gdyby umyślnie karmione. Właśnie za potężnym rogaczem cały dzień poniłem; ale to bywalec, moi panowie! Trzy razy miałem go pod ręką i trzy razy mi umknął. Moje ogary już, już go chwytały, nakoniec jakby przez zemstę wprowadził mię w błota, z których ledwo się wydobyłem i gdybym szczęściem nie spotkał jakiejś upstrzonej dziewczyny, co mię w mgnieniu oka kilka mil drogi skróciwszy, przyniosła do bramy Kiernowa, możebym musiał na mchu gdzieś nocować.

— Nie trzeba być duchem — odpowiedział Lezdejko — aby ukazać zbłądzonemu drogę; dopieroż kiedy nim jest tak grzeczny młodzieniec.

— Powiadam wam — mówił książę — że to było osobliwsze stworzenie, od stóp do głowy zielskiem porosłe. Cóżkolwiekbądź, radbym ją raz jeszcze spotkać, żebym jej uczynność nagrodził.

— Pojato — rzekł starzec — to pewnie być musi córka którego z naszych rybaków. Staraj się o niej dowiedzieć, dobrze byłoby, iżby poczciwa dziewczyna dostała na lepsze odzienie.

— Bardzo dobrze, mój ojcze — pdpowiedziała zmienionym głosem Pojata. — Ale radabym wprzód usłyszeć najdokładniejszy jej opis. Czy nie jest ona mojego wzrostu i składu?

Kiedy Lezdejko odzywał się do córki, wtenczas dopiero Daniel dowiedział się, że się w jednej z nią izbie znajduje. Przystąpił do niej z uszanowaniem, zaczął witać, przepraszał za zabaczenie, i tak ją piękną znajdował, że odtąd Pojatą tylko zajęty, rozmowę z gospodarzem towarzyszom zostawił.

— Możeszże pani być tak nielitościwą na swoje wdzięki, żebyś do nich równała leśną, czy wodną dziewczynę? Gdybyś nawet chciała znaleść do siebie podobne stworzenie, bardzo żałowałbym twych trudów; nietylko okolice Kiernowa, ale pono świat cały nie mógłby ci go dostarczyć.

— Ja myślę — odpowiedziała Pojata — że książę jutro rano spotkasz tę uczynną Lasdonę, żebyś się jej z wdzięczności wywiązał.

Na słowo Lasdona, książę spuścił oczy. — Po chwili z niedowierzaniem spojrzał na Pojatę, i zwracając rozmowę do innych przedmiotów, pytał ją, jako gospodynię domu, czy nie będzie jej i ojca wolą, aby mógł im służyć swoją myśliwską wieczerzą.

— I owszem — odezwał się Lezdejko. — Miło mi wprawdzie byłoby moją własną kuchnią służyć tak zacnym gościom, ale pewny będąc, że wieczerza księcia bardziej mu do smaku przypadnie, niż nasze wiejskie potrawy, zgadzam się na to, abym dziś był na jego stole.

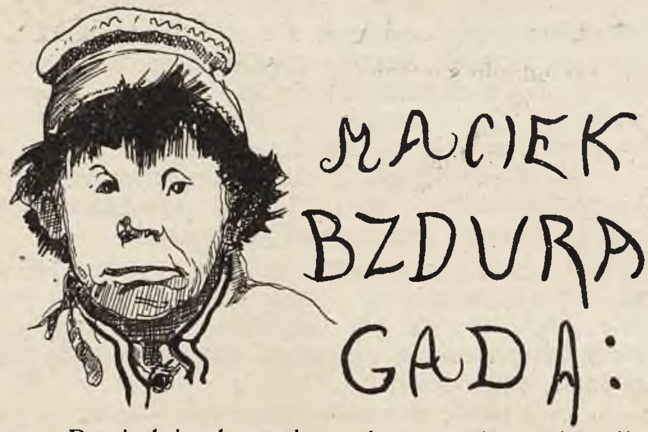
Wydał natychmiast książę rozkazy nakrycia stołu w mieszkaniu Lezdejki. Wkrótce znosić zaczęto potrawy z namiotów i zabrano miejsca u stołu. Wieczerza była wspaniałą.

Daniel siedzący obok Pojaty, z zachwyceniem przypatrywał się ślicznym jej wdziękom i nad tem najbardziej rozmyślał, jakim cudem mogła jej być wiadoma rozmowa z leśną dziewicą. Pojata też, rada z poznania księcia, zakochanego niegdyś w Aksenie, szczerza żałowała, że mu przymawiała w drodze. Ale im bardziej książę sadził się na przekonanie jej o nowej miłości, tem wyraźniej Pojata dawała mu do zrozumienia, że córka Lezdejki i leśna dziewczyna, były jedną osobą. Poznał nakoniec niezręczny zalotnik okropną pomyłkę i przywiódłszy sobie na pamięć wszystkie szczegóły rozmowy, zupełnie stracił ochotę do dalszych grzeczności.

Pojata, widząc pomieszanie gościa, wszelkich używała sposobów, aby go przekonać o życzliwości swojej; ale trudno już było myśl raz zepsutą naprawić. Jak tylko ruszono od stołu, książę wymawiając się strudzeniem, pożegnał gospodarza, życzył dobrej nocy Pojacie i z towarzyszami wrócił do namiotów.

— Cóż ci się stało, panie — zapytał jeden z dworzan — nic nie jadłeś u stołu, czyliś nie chory? Czy może oczy pięknej Pojaty postrzeliły twe serce?

Tak rozmawiając przy pełnym puharze, który koił zmartwienia i trudy książęce, usypiała pomału czereda myśliwcza. Nazajutrz równo ze dniem kazawszy książę zanieść do Ciwuna mnóstwo ubitej zwierzyny, z całym taborem ruszył w umówione knieje. (Ciąg dalszy nastąpi).




Powiadają do mnie moja gospodyni wkiejsik:

— Słuchaj, Maciek, kiedyś ty taki mądry, ze az w gazytach twoje gadanie pisą, to powidz ty mi, co za zwirz ten kumeta, o którem tyle teraz ludziska bają?

Cie ich, takze się wybrali! To ino tak przez cygaństwo, bo myśleli, ze jak się rozgadam, to o jedzeniu zabacę i pójdę bez wiecerzy spać. Ale ja ta nie taki głupi: prędzybym przez pacirza spać posed, jak bez jedzenia. Powiadam więc do gospodyni:

— „Dejcie naprzód kluski, a potem będzie gadanie o kumecie!“

A ze to kuzda baba okrutecnie ciekawa, więc anim się obeźroł a tu juz kluski stały na ławie. Wtedy ja zacął tak do gosposi:

— Wicie, ze Poniezus to okropnie śpekulantnie ten świat stworzył! Pojrzyjcie do góry, a wszyćko to, co nad sobą widzicie, to co my nazywamy niebo, to jest akuratnie tak, jak ta donicka na kluski; te gwiazdecki, co tak świcą, to tak samo jak kluski w donicce. Ino ze ich tam jest ogromnie duzo, a klusek w donicce ino odrobina. Ale one są wszędzie i tu, i tam, i hań, i jesce dalej. Kumeta, nieprzymirzając, to jak ta łyzka, która za kluskami po donicce goni i nie może ich złapać. Juz, juz bliziuteńko niej jest, juz się jej zdaje, ze kluskę chlapnie, a tu kluska: chlup! i juz jest przy drugim brzegu.

Taksamo jest i na niebie. Od Bartkowego pola az po plebańską sośninę na caluśkiem niebie pelniusienko jest gwiazdecek. Jakisi wielgi pan — moze cysarz, moze prefesur — w kazdem razie pan wielgi z tamtego świata — będzie chciał jeść na wiecerzą gwiazdecki, jak ja kluski. Wyciągnie se za pasa złocistą łyzkę i będzie po niebie łapał gwiazdy. Nam się tu mizernym stworzeniom ta łyzka będzie wydawała kometą. Ale choć gwiazd na niebie więcej jak klusek w donicce, to i więcej mają miejsca i ten pan zadny nie złapie, jak i ja jeszce zadny kluski nie złapałem.

— Idź głupi Maciek — powiedzieli gospodyni — gwiazdy to gwiazdy, a nie zadne kluski, a kumeta to kumeta, a nie łyzka!

I prawda! mają gospodyni recht! Ja tyle gadałem, a nie wytłómacyłem tak dokumentnie jak moja gospodyni w paru słowach. I jak mogą być jesce na świecie tacy ludzie, którzy powiadają, ze baby głupse, jak chłopy!

Duzoby było o tem gadać, ale juz ni mam casu, bo trza dalej łapać gwiazdy kometą niem gosposia cały firmament niebieski z ławy sprzątną. Potem będę słuchał cytania listu, jaki jedna dzieucha z Krakowa do mnie napisała, a o którem wam opowiem drugi niedzieli.

# HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

Po udaniu się Bolesława Śmiałego na pokutę po haniebnem zabójstwie św. Stanisława, naród polski zaprosił brata jego Władysława Hermana na tron. Ten jednak nie miał ani odważnego serca, ani tęgiego charakteru, jak jego poprzednicy. Może być, że przyczyniała się do tego choroba nóg, na jaką Władysław cierpiał.

Zostawszy monarchą zaraz sobie źle począł, gdyż nie kazał się koronować królem, ale poprzestał na tytule książęcym.

Zaraz po wstąpieniu na tron, Władysław ożenił się z Judytą, córką króla czeskiego, ale długo nie miał z nią potomstwa. Wobec tego poradzili mu księża, aby posłał do Francyi, do grobu św. Idziego posłów z darami, na uproszenie dlań potomstwa.

Po długich modlitwach i postach, stało się, że Judyta powiła mu syna, któremu na imię dano Bolesław, a że miał z choroby krzywe usta, nazwano go Krzywoustem.

Z wdzięczności za otrzymane dobrodziejstwo a zarazem na pamiątkę, że Pan Bóg dał mu syna za wstawieniem się świętego Idziego, postanowił Władysław Herman zbudować w Krakowie pod Zamkiem kościółek, który do dziś stoi, i nazywa się kościółkiem świętego Idziego.

Władysław Herman, zwyczajnie jak człowiek niedołężny i leniwy, dał się powodować Wojewodzie krakowskiemu Sieciechowi i zdał nań wszelką władzę, tak, że Sieciech mógł robić, co mu się podobało.

Zwykle tacy faworyci gorsi są od najgorszego króla; to też on, kiedy sobie co upatrzył do kogo, zaraz go karał śmiercią, albo mu majątek zabierał, albo na wygnanie skazywał. W końcu jednak oburzeni Polacy wygnali Sieciecha z kraju, a wkrótce umarł i Władysław, zostawiając kraj synowi, Bolesławowi Krzywoustemu.



**Wład. Herman funduje kościół św. Idziego.**

## Rozrost niemczyzny w Galicyi.

Od pewnego czasu gazety polskie zaczęły zwracać uwagę na Niemców, osiadłych w Galicyi. Jest to mała garstka i do tego rozrzucona tak po całym kraju, że nikt nawet ich istnienia w Galicyi nie zauważył. Dopiero w ostatnich dwu latach Niemcy galicyjscy zaczęli głowę do góry podnosić i nuż się skarżyć na ucisk polski. Zawiązał się nawet związek Niemców w Galicyi, który rozpoczął wydawanie gazety niemieckiej, mającej bronić interesów niemieckich w Galicyi. Zaczęły się w tej gazetce sypać skargi na Polaków, na nasze władze krajowe, na naszą Radę szkolną, która podobno nie chce zakładać szkół niemieckich w Galicyi.

Jak tylko Prusacy dowiedzieli się o tem, że i w Galicyi żyje kilka tysięcy Niemców, uciskanych rzekomo przez Polaków, zaczęli u siebie zbierać składki na szkoły dla Niemców galicyjskich i fundusz na wysyłanie emisaryuszy niemieckich do Galicyi, którzyby tu umacniali narodowo podupadłych na duchu Niemców. I z Galicyi wyjeżdżają do Niemiec delegaci, którzy tam na zebraniach „Szulverajnu", to jest towarzystwa, zbierającego pieniądze na zakładanie szkół niemieckich na kresach, opowiadają o strasznym ucisku, w jakim muszą żyć Niemcy galicyjscy. Opowiadają przytem takie niestworzone rzeczy, że Niemcy gotowi kiedyś uwierzyć, że Galicya, to kraj niemiecki.

Przed kilku tygodniami zjawił się w Bochum w Westfalii pastor ewangelicki ze Stanisławowa Keller, który podróżuje obecnie po Niemczech i zbiera składki, wygłaszając przytem odczyty o „bojach i zdobyczach niemczyzny w krainach podkarpackich". Pastor ten jest wprawdzie poddanym niemieckim, od lat jednak osiadły jest w Galicyi, a w Stanisławowie założył w roku 1896 zakład wychowawczy dla Niemców, który zrazu miał tylko jedną klasę, a dziś liczy już 8 klas z 8 nauczycielami i 450 dziećmi.

Pastor Keller wybrał się więc do Niemiec, by stamtąd przywieść trochę pieniędzy na agitacyę niemiecką w Galicyi.

„Najmniej — opowiadał pastor Keller z Bohum — w Niemczech słyszy się o walkach i kolejach niemczyzny w Galicyi, nad rzekami Sanem i Dniestrem. A przecież to lud niemiecki, który przybył z Szwabii, Hesyi i Palatynatu reńskiego, walczy tam o swój byt i swą narodowość. Nie wszędzie jest niemczyzna tak silną, jak w Cieszynie i Bielsku, tych filarach niemczyzny w krainach podkarpackich, a w mieście Biała, osadzie ongiś czysto niemieckiej, niemczyzna jest bardzo zagro-

żoną, gdyż Polacy zakładając szkoły i banki coraz bardziej obejmują administracyę miasta“.

Następnie opowiadał pastor o tem, ile to dawniej Niemców było w Polsce, kiedy miasta nasze zaludniały się kolonistami niemieckimi, sprowadzonymi tu jako rękodzielnicy. Niestety — wołał pastor Keller — wszyscy się wynarodowili i spolszczyli. „Polacy stali się panami kraju (tak, jakby to dawniej nie byli!?) zagarnęli administracyę, Sejm w Galicyi coraz bardziej staje się samodzielniejszym, coraz bardziej jest kraj od rządu niezawisłym i dzisiaj jest Galicya — niemal zupełnie polskim krajem“.

Niemcy galicyjscy — według wywodu pastora — dotychczas od politycznego życia się wstrzymywali. Rozwinięto natomiast gorliwą działalność na polu szkolnictwa. Obecnie jest w Galicyi, bez Bukowiny, już 120 szkół niemieckich, z tych nawet 10 wyższych, miejskich. Reszta szkół znajduje się we wioskach, a ponieważ w Galicyi jest jeszcze dużo analfabetów, przeto szkoły owe działają na niemczyznę bardzo pożytecznie, bo nieraz do tych szkół zabłąka się i polskie dziecko, z którego później wyrośnie Niemiec.

„Niestety — biadał pastor Keller — dla braku odpowiednich funduszów nie wszędzie, gdzieby należało, można było założyć szkołę, a istniejące wyposażyć hojniej, aby skuteczniejszą działalność rozwinąć mogły. Z niemieckich szkół wiejskich są cztery, w których tylko w porze zimowej odbywają się lekcye. Materyał nauczycielski nie zawsze jest dobry, a to z powodu lichej płacy gmin niemieckich. W jednej wiosce uczył dziatwę niemiecko-protestancką suspendowany duchowny katolicki. Co pobiera taki zimowy nauczyciel? 65 guldenów, jeść i pić, codzień w innym domu“.

Z jakich osób rekrutują się nauczyciele w tych szkołach niemieckich, opowiadał sam pastor. Otóż w jednej z wiosek nie chciał nikt przyjąć urzędu nauczyciela niemieckiego, bo wszyscy kandydaci na tę posadę mówili, że płaca 65 guldenów za całą zimę to za mało. Zgłosił się więc jeden parobek do gospodarzy - Niemców i powiedział im, że chce zostać nauczycielem.

— A potrafisz ty pisać — spytano go.

— A jakże! odpowiedział.

Na najbliższych wrotach kazali parobkowi coś kredą napisać i tak parobek zdał egzamin i został nauczycielem. Gospodarze cieszyli się, gdyż zgodził się na 50 guldenów pensyi. Uczył i kształcił młodzież w niemczyźnie przy pomocy kija oczywiście, z jakie 6 tygodni. Po tym czasie urząd „szulmajstra“ został gwałtownie przerwany przez żandarma, który z polecenia urzędu wszedł do klasy podczas lekcyi, spojrzał na nauczyciela, a poznawszy w nim osławionego i oddawna poszukiwanego koniokrada, zabrał go natychmiast z sobą. No i koniokrad powędrował do więzienia, a Niemcy pozostali bez nauczyciela. Obok takich nauczycieli pracuje — jak opowiadał pastor — w Galicyi wielu zdolnych nauczycieli, którzy, choć licho płatni, pracują z poświęceniem, wiedząc, że są szermierzami niemczyzny i że czuwają na forpocztach.

Ze tu agitacya niemiecka w Galicyi jest podsycana z zewnątrz, o tem społeczeństwo polskie wiedziało, jak również wiedziało o tem, że z Berlina przychodzą pruskie pieniądze na ten cel. Gadatliwość pastora Kellera zdradziła nam, ze z Berlina przychodzi rocznie około 10 tysięcy koron dla nauczycieli niemieckich, jako dla szerzycieli niemczyzny w Galicyi. Tak n. p. w roku zeszłym 104 nauczycieli niemieckich z tego funduszu otrzymało zapomogi, aby tem chętniej działali w duchu niemieckim.

Jak widać z tego odczytu pastora Kellera, Niemcy w Galicyi cieszą się swobodą jak największą, mimo że krzyczą i narzekają na ucisk polski. Zakładają sobie swe związki, głośno nazywają się żołnierzami ruchu wszechniemieckiego, organizują sobie własne szkoły i nikomu nie zabraniają uczyć swe dzieci po niemiecku.

A jakże jest z braćmi naszymi pod zaborem niemieckim? Wyrzucają ich z ojczystej ziemi, zabraniają dzieciom polskim uczyć się własnego języka, nawet zabraniają księżom wykładać katechizm po polsku. Co więcej zamknięto braciom naszym w Prusach usta i uchwalono ustawę, zakazującą używania języka polskiego na wiecach i zebraniach!

Historya osądzi, kto kogo krzywdził i gnębił a przysłowie mówi, że ten kto dużo krzyczy i na drugiego rzuca oszczerstwa, chce widocznie od siebie odwrócić podejrzenie i zarzuty.

# Śmierć i adwokat.

(Historya nieprawdziwa).

Był raz adwokat jeden, który najzawilszą sprawę umiał jeszcze bardziej pokręcić i zagmatwać, paragrafy prawa urabiać w gębie, jak chleb w palcach. To też bali go się sędziowie a złodzieje nazywali swoim patronem i królem, bo przed trybunałem tak był wymownym dla nich rzecznikiem, że nieraz prokuratur oskarżenie cofał a na oskarżonego zbierał składki.

Ale raz adwokat tak zachorował ciężko, iż na nic się zdały pigułki i mikstury różne. Było z nim coraz gorzej, aż wlazła śmierć do jego pokoju i mówi;

— Chodź bratku!

— Powoli serdeńko! — rzecze adwokat. Chcesz mnie zabrać, a jakiem prawem?

I po tych słowach sięgnął po ustawę karną i nuż czytać różne paragrafy i udawadniać, że ona nie ma do niego najmniejszego prawa.

Śmierć, jako że zawsze sprawiedliwością rządzić się musi, poczęła się z nim kłócić i na wszystko miała gotową odpowiedź i trzeba przyznać, że miała jadaczkę, jak przekupka z rynku, a kręt z niej był większy od niejednego, który tyle już nawichrzył i namącił, a mimo to na wierzchu pływa.

Prawowali się w ten sposób 13 godzin, aż śmierć się przekonała, że nie sprosta adwokatowi, i dawszy za wygraną, chciała wyjść od niego.

— Hola! Powoli! — krzyknął adwokat, i złapawszy ją za prześcieradło, zażądał, aby mu zapłaciła koszta tego prawowania się z nim.

Śmierć przestraszyła się, bo była biedną jak Maciek Bzdura, nim zaczął swoje gadanie w *Roli*, i nuż adwokatowi się zaklinać, że według ustaw niebieskich nie wolno jej mieć pieniędzy, że ślubowała ubóstwo po wieczne czasy, — ale adwokat powiedział, że go to nic nie obchodzi, i że prędzej z pokoju jej nie wypuści, dopóki rachunku mu nie zapłaci.

Widząc jednak w końcu, że babę wiatrem i kośćmi czuć, nie pieniędzmi, zafantował jej prześcieradło, kosę i klepsydrę, a gdy i to nie starczyło, ze skóry ją odarł i za drzwi wyrzucił.

# ZA WROTAMI.



Było jakoś na wiosnę. Gdzieś, za murami wielkiego miasta, musiały już zielenić się runie, od zoranej ziemi mocne szły zapachy; pękały pewno kasztanowate pąki i sokiem lepkim ciekły.

Tu w murach zawsze jednako: ciężko. A jeszcze w murach więziennych! Antek Zwaniec już miesięcy 8 siedzi, jeżeli nie myli go porachunek. Boć można zupełnie stracić poczucie, miesiąc upłynął, czy wiek, gdy tak siedzi się w czterech ścianach, w wiecznym mroku, że aż wszystko jedno, czy dzionek wschodzi za okratowanem oknem, czy noc cicha zapada. Cicho, to tu jest zawsze. Jeno buty skrzypią po kurytarzu, czasem broń szczęknie, czasem sucho klapnie okienko w drzwiach umieszczone. Zrazu to szumiało mu we łbie. Przewalały się tam, w głębi, jakieś mary, jakieś myśli, których schwycić ani potrafił. Zwidywało mu się, że sam jeden na oddział cały obcych żołnierzy szedł, mocą Bożą zwyciężył i wolny był. Bo Antek Żwaniec nie za kradzież w więzieniu był, ani za morderstwo nijakie. Antek modlił się codzień, 3 razy w roku do spowiedzi św. chadzał, pracował dzień cały, hardy był a nieustępliwy — prawda, ale sprawiedliwy też. I radości swoje miał: ziemi kawał, żonę wierną, urodę a miłość i dzieci.

O dzieci poszło. Do szkoły słać był czas. Jeno że ta szkoła nie widziała się Antkowi. Uczyła mowy cudzej, nie swojej, o inszym prawiła Bogu, o inszej ojczyźnie. Raz była chwila nadziei. Gromada pod nową szkołę grunt ofiarowała, nauczyciela obiecała żywić, budynek postawić własnemi rękoma — ale wnet zjechał komisarz, powiedział, że ostanie jako było, a strażniki na radzie gromadzkiej zrobili burdę i otwarciej gadających gospodarzy prali, lub wiązać chcieli.

Tego Antek nie potrafił znieść: rzucił się, bagnet strażnikowi wyrwał, i... i...

Nie, nie zrobił nic, ale za burzenie publicznego porządku siedzi teraz w murach — w murach.

A tam, na wsi, na jego roli wiosna. Wiatr w gałązkach wierzbiny gra, słonko przygrzewa, bielizna śnieżysta, na opłotkach się suszy, a Magda co chwila na próg chaty wybiega i ręką oczy przysłoniwszy patrzy — patrzy na gościniec... Hej nie wypatrzy. Toć on ani wie...

I myśli Antek, myśli aż go z zadumy obudziło wejście dozorcy. Niezły był człowiek, ale Antek nigdy dobroci jego nie potrzebował. Wiadomo: hardy i nie ustępliwy.

Aż nagle dziś.... Antkowe oczy nalane są jakimś dziwnym wyrazem: od okna odwrócił się dopiero co, a za oknem — hej... co on to widział!...

Panie dozorco, czy ja dziś wyjdę na Boży świat? zaczął nieśmiało.

— „Trudno wiedzieć", odparł tamten mrukliwie — bardzoście rozgniewali naczelnika wczoraj. —

Antek głowę spuścił.

— Nie mogłem inaczej — rzekł — przecież i wy, ot, co gadać, nie wyparlibyście się matki rodzonej.

Bibl. Jag.

— Nie o matkę chodziło przecie, — łagodniej mruknął dozorca.

— Ale o mowę ojczystą, o polską mowę...

— Antkowi nagle wezbrało serce. Chciał mówić. Wszystko jedno z kim.

— Powiedzcie zaczął, że ja powietrza muszę — że słońce... że ziemia...

Ale strażnik już wrócił do zwykłej surowości.

— Jeśli przykaz będzie od naczelnika, wyjdziecie — rzekł i zabrawszy nietknięte jedzenie na glinianej misce, wyszedł.

W Antku żyła nadzieja. Miał jakieś przeczucie radosne.

Usłyszał wreszcie zgrzyt klucza w zamku; bronzowy szynel staje w otwartych drzwiach.

— „Wyjdźcie!"

Porwał się, jakby mu wrota na wolność stały otworem. Ale już na kurytarzu kroku zwolnił. Tak trzeba i już przywyknął. Aż gdy go świeże powietrze owiało, głowę podniósł. Nie było niby na co patrzeć, ale w Antku Zwańcu krew zagrała siłą, mocą.

Podwórzec otoczony był murem wysokim z dwóch stron, z trzeciej zamykał niewielką przestrzeń duży budynek, przeznaczony na składy zapasów. Właśnie przed jednem z wrót, stał wóz węgli, a kilku więźniów zrzucało czarne, lśniące bryły. Inni uprzątali je z bruku, szuflując w głąb składu. Antkowi wyprężyły się ramiona; bezwiednie wykonał ruch rękoma naprzód i z powrotem; Jak on by robił! Ale wnet spochmurniał. Hole! robiłby — ino na swojem!

— Panie dozorco! dajcie na moment za wrota spojrzeć — szepnął, widząc że pusty wóz ku bramie zmierza, którą z łoskotem otwierali strażnicy.

Na dozorcę także podziałało południowe słońce. Tylko miał skrupuły.

— No, no, poczekaj chwilę, może się da — powiedział i oglądnął się, czy nie widzi „starszy“, lub sam naczelnik. Uspokoił się.

— Ale ani kroku za wrota, rozumiesz? — i mocno się wpatrzył w oczy Antkowe.

— Ani kroku za wrota — powtórzył tamten gorąco i przysunął się do wrót, korzystając, że orczyk odpiął się jeden i trzeba go było założyć nim wóz ruszy.

Za bramą ciągnął się długi pas żółtego gościńca, za drogą biegła błoń zielona, w poprzek zaś, bokiem, szedł nasyp kolejowy, kończący się gdzieś pod nieboskłonem.

W tej chwili wszystko to zalane słońcem żyło. Żyła droga, po której snuli się ludzie, żyła trawa na błoniu zielona; żył wał, bo słaniały się po nim strzępy obłoków dymu i pary, po dopieroco przejeżdżającym pociągu.

Antek w strzępy te oczy wlepił i dyszał. Dusza mu uciekała — tam — tam — za wrota.

— Zamknij się! — krzyknął strażnik, a w tej chwili dozorca zaklął siarczyście, niby na własne usprawiedliwienie.

Antek Żwaniec cofnął się od bramy, która też niebawem zamknęła się głucho. Jakby nad ciałem Antkowem zawarła się trumna.

— Wrócę już, — panie dozorco! jęknął i ciężko nogami wlokąc, do celi wszedł.

Ale mu już pokoju nie dawały — oczy. Te oczy, co raz wybiegły za mury kaźni, do słońca, do ziemi. Noc przyszła. Wydało mu się: nie strzyma. Ani kroku za wrota, powiedział dozorca — to też i wrócił. Ale teraz, teraz, żal mu, strasznie żal.

Antek Żwaniec do okna podchodzi i patrzy. Krata stara, zawiasy okien ledwo trzymają. W Antka wstąpiła moc. Ramieniem podważył, pchnął i strumień zimnego powietrza owiał mu głowę.

Nie było wysoko. Zresztą! cóż to Antkowi! skoczył. Cicho, nie słyszał nikt. Po murze wdrapał się, jak kot, chwilę przysiadł na wierzchu, jakby go zamroczyła swoboda. I rzucił się na dół.

Rów był, nie głęboki, wilgotny. Wyszedł i legł na murawie. Jeno na chwilę, ku wsi rodzinnej chciał, ku domowi, ku chałupie. Na wał kolejowy wszedł i zapatrzył się w zachodnią stronę. Trząsł się cały, nie z chłodu, ze szczęścia. Pójdzie, ptakiem do swoich poleci.

Stanął. Coś szumi w oddali. Może? może? Nie. To jemu w głowie huczy radość, serce bije.... Ale przecież coś tętni, ziemia drży. Szukaliby? już? To wiatr jeno wieje od zachodu i gwar jakiś przynosi radosny.

I nagle ugięły mu się kolana. Pod gwiaździstem niebem, wśród wiosennych oparów, wobec ciemnej masy murów olbrzymiego więzienia, Antek Żwaniec w aresztanckiej odzieży, klęcząc na szynach, dziękował Bogu za wyzwolenie...

A z daleka nadlatywał pociąg.

Tylko, że go Antek niesłyszał, zasłuchany w mowę ziemi i własnego serca bicie.

*Stanisław Krzywda.*

**Czytelniku! Niech nie braknie nigdzie naszej „ROLI“,**
**Ona w pracy Ci pomoże, pocieszy gdy boli...**
**W przykrych chwilach rozweseli, zabawi w potrzebie,**
**A gdy trzeba, to pouczy, uświadomi Ciebie.**

# Wzrok ofiary.

## XIX. Zakończenie.



Od czasu uwolnienia z więzienia, Jakób Dantin chodził często na odległy kąt cmentarza, gdzie zimna mogiła przykryła zwłoki Rowera, nieraz też składał wieńce kwiatów na grobie przyjaciela.

Dantinowi wydawało się teraz, że życie jego ma jakiś cel. Niestety, ostatnia wola, ostatnie życzenie zmarłego nie miało się nigdy wypełnić! Majątek Rowera, który przeznaczał owej dziewczynie, swej córce, musiał z mocy prawa przypaść jego dalekim krewnym, o których istnieniu były konsul nie miał nawet wyobrażenia, których nie widywał nigdy w swem życiu, obojętnym, przypadkowym członkom rodziny.

To też Dantin rozmyślał nad tem nieraz.

— Nie powinienem był czekać — mawiał sam do siebie — należało go nakłonić, aby mi powiedział, co chce uczynić dla córki. Cóż się z nią biedną teraz stanie?

Pewnego smutnego, pochmurnego dnia marcowego szedł Jakób Dantin znowu ku nowemu grobowi, który ukrywał zwłoki Rowera. I znowu rozmyślał nad swoją pełną bolu przeszłością, o strasznym końcu tak wesoło poczętego, a tak marnie spędzonego życia; gnębiła go i gniotła tajemnica, którą usłyszał od zmarłego. Przypominał sobie hałaśliwy pogrzeb dawnego przyjaciela, kwiaty nie wiadomo skąd przysłane, ciekawe, natrętne spojrzenia licznie zebranego tłumu... Teraz panowała cisza i samotność na posępnych ulicach cmentarza.

„Ludwik Piotr Rower“ — ileż wspomnień budziło to nazwisko w tym, którego podejrzywano przez chwilę, że zamordował swego najukochańszego i najwierniejszego przyjaciela.

— Przynajmniej ma już spokój wieczny! — myślał Dantin i wspominał o swem własnem życiu, pozbawionem szczęścia i celu.

Czuł, że i on spocznie tu niedługo, a nikt nie odprowadzi go z miłością na miejsce wiecznego spoczynku, bo wśród tak licznych przypadkowych przyjaźni, nie miał ani jednego prawdziwego przyjaciela. Stracone marnie, głupie, złe życie! Nie mający rodziny, stary, zmęczony Dantin przyrównywał się do zamierającego drzewa.

Jeszcze raz pożegnał Rowera, mówił do niego czułemi słowy, pozdrawiał go tam, poza grobem. Potem oddalił się wolnym krokiem. Ale kiedy przy skręcie alei odwrócił się, aby jeszcze raz obejrzeć miejsce gdzie spoczywa Rower, nagle zauważył na bocznej dróżce, między zszarzałymi kamieniami grobowców jakąś smukłą postać kobiecą w żałobie, która zbliżała się ku temu samemu miejscu, skąd odszedł dopiero przed chwilą. Zatrzymał się, czekał i patrzył: nieznajoma szła wprost na grób Ro-

wera. Była wysoka, smukła i o ile mógł rozróżnić z daleka, jeszcze młoda. Przyjaciel zmarłego pomyślał sobie w tej chwili:

— Oto jego córka!

Wspomnienia ostatniej rozmowy z Rowerem i jego wyznania znowu stanęły żywo przed oczyma Dantina. Znowu ujrzał przed sobą nieszczęśliwego, jak, chwiejąc się na nogach, szuka gorliwie papierów wartościowych, które miały stanowić majątek ukochanej córki, jak jego drżące, wychudłe ręce znajdują tylko bezwartościowe dokumenty. To musiała być ta sama dziewczyna, o której Rower myślał bez przerwy, której los chciał zabezpieczyć za pośrednictwem Dantina.

Kobieta w żałobie uklękła przy grobowcu, pochylając się nad wielkim bukietem kwiatów, który przyniosła z sobą. Modliła się.

Dantin przyglądał się jej długo, wreszcie zbliżył się, kiedy przeżegnała się i podniosła.



Na odgłos jego kroków nieznajoma odwróciła się szybko; Dantin zauważył młodą, smutną twarzyczkę, otoczoną wieńcem jasnych włosów. Dziewczyna patrzyła na zbliżającego się ze zdumieniem. Jakób Dantin omal nie zapłakał, widząc w jej rysach zupełne podobieństwo do zmarłego przyjaciela.

Młoda kobieta poruszyła się bezwiednie, jak gdyby chciała się oddalić i usunąć z miejsca, gdzie ktoś inny nadchodzi, ale Dantin skinieniem ręki poprosił ją, aby pozostała.

— Niech się pani nie obawia. Jestem najlepszym przyjacielem tego, który tam spoczywa!

Zbladła i zatrzymała się trwożnie.

— Wiem, jak go pani kochałaś — dodał po chwili.

A kiedy wydała cichy okrzyk przestrachu i rozejrzała się dokoła, jakgdyby szukając pomocy, mówił dalej szeptem:

— Rower opowiedział mi wszystko. Nazywam się Jakób Dantin. Zdaje mi się, że mówił z panią o mnie.

— Tak — odpowiedziała młoda dziewczyna.

Głęboki ton jej głosu zawierał w sobie cały świat wspomnień i wyznań.

Po chwili powtórzyła:

— Tak.

Dantin zadrżał pomimo woli. I ten dźwięk głosu przypominał mu zupełnie Rowera.

Po chwili milczenia Dantin przerwał ciszę świętego miejsca umarłych, aby uwiadomić stojącą przed nim kobietę o ostatniej woli Rowera.

— Testament... spadek... znaczny majątek... — wymawiał te słowa prędko, prawie bez związku.

Młoda dziewczyna odgadła treść jego wyjaśnień i przerwała je rozkazującem poruszeniem:

— Nie chcę o niczem wiedzieć, mój panie, co mówiono o mnie do pana. Jestem córką człowieka, który przy boku mej matki oczekuje na mnie, który jest już słaby i kocha mnie bardzo, który, gdyby kiedyś nie stało mej matki, nie dałby sobie rady bezemnie... ja, ja sama nie potrzebuję i nie pragnę niczego.

Głos jej miał ton stanowczy, rozkazujący. Im dłużej Dantin patrzył na tę dziewczynę, którą widział po raz pierwszy w życiu, tembardziej był przekonany, że odrodziła się w niej cała istota jego zmarłego przyjaciela.

— Więc? — zapytał Dantin, jakgdyby oczekiwał rozkazu z ust kobiety.

— Więc — odparła młoda dziewczyna głębokim głosem — jeżeli spotkamy się jeszcze kiedyśkolwiek przy tym grobie, n i e  m ó w  p a n  z e  m n ą  n i g d y  o  t e j  s p r a w i e. A gdybyśmy się spotkali poza obrębem cmentarza, nie powinieneś mnie pan znać całkiem. Tajemnica, którą powierzył panu spoczywający tu w spokoju zmarły, jest zarazem tajemnicą człowieka żyjącego, którego czczę: mojego ojca.

Wymówiła to słowo z łagodnem, pełnem smutku uczuciem; Dantin dostrzegł, że oczy jej napełniły się łzami.

— A zatem żegnam pana, panie Dantin — rzekła.

Jakób chciał jeszcze raz zacząć mówić o ostatniem wyznaniu zmarłego.

Znowu nie dopuściła go do słowa i powtórzyła:

— Bądź pan zdrów!

Zrobiła znak krzyża na czole ręką, spojrzała smutnie na grób, na którym leżały rozrzucone kwiaty, potem zapuściła zasłonę na twarz i odeszła. Dantin stał jeszcze ciągle przy szarym kamieniu, póki nie ujrzał jej znikającej na zakręcie ulicy.

Ta dzielna dziewczyna, która zjawiła mu się jak obraz łaski, miała więdnąć przy boku starego żołnierza, przez długie lata, wyrzekając się wszystkiego, a jednak szczęśliwa.

— Kto wie mój biedny Piotrze — mówił Dantin, zwracając się do grobu Rowera — czy twoja córka, tak dumna ze swej ofiary, nie jest właśnie przez to szczęśliwsza!

Wreszcie i on opuścił mogiłę Rowera i cmentarz. Postanowił pieszo powrócić do swego mieszkania.

* *

Zaledwie stanął na ulicy w tem samem miejscu, którędy tak niedawno szedł za trumną Rowera w towarzystwie Bernadeta, w tem samem miejscu spotkał tego samego małego człowieka.

Ajent policyi pozdrowił go niskim ukłonem, na twarzy jego malowało się zakłopotanie, ubolewanie i prośba o przebaczenie.

— Ach, panie Dantin — zawołał niepewnym głosem — jesteś pan zapewne na mnie bardzo obrażony.

— Bynajmniej — odparł zapytany. — Nie mam się o co gniewać. Pan sądziłeś, że wypełniasz swój obowiązek i mogę tylko wyrazić panu podziękowanie za jego troski i starania, za to, że mój biedny Rower tak szybko będzie pomszczony.

Bernadet poruszył obojętnie ręką:

— Pomszczony! Tak jest będzie pomszczony. Nie dałbym ani grosza za głowę Karola Pradesa, który jutro usłyszy wyrok. Zapewne zobaczymy się na rozprawie. Do widzenia, kochany panie Dantin, do widzenia i jeszcze raz proszę bardzo o przebaczenie...

— Do widzenia, panie Bernadet.

Obaj rozeszli się w przeciwne strony.

Bernadet szedł na śniadanie. Spóźnił się, a że nie chciał aby żona czekała na niego, jak mógł, przyspieszał kroku, byleby prędzej dojść do domu.

Ale jednak zatrzymał się, słysząc jak wywołują za jego plecami gazetę na sprzedaż.

— Jutrzejszy proces... Morderstwo Rowera... Wiadomości o „Wzroku ofiary“.

— Dajże chłopcze jeden numer — rzekł ajent.

Sprzedający gazety chłopiec szybko wziął egzemplarz pisma i rozwinął go przed sobą jak chorągiew.

— Ach, rozumiem, to musi pana zajmować, panie Bernadet.

I podczas gdy mały ajent policyjny czytał w nagłówku numeru tłusto wydrukowany tytuł „Wzrok ofiary“, chłopiec wydawał mu resztę z otrzymanej monety i dodał:

— Jutro jest rozprawa. Ale nieprawdaż, panie Bernadet, sprawa już dzisiaj pewna? Prades z góry skazany?

— Przyznał się i sprawa załatwiona — rzekł Bernadet, odbierając pieniądze.

— Dziękuję bardzo, panie Bernadet i do widzenia.

Bernadet spieszył ku domowi.

— Dziewczęta niecierpliwią się już pewnie; niewątpliwie siedzą już dookoła stołu, aby mnie wypytać o wszystko, co się dzisiaj wydarzyło.

Przelotnem spojrzeniem przebiegł gazetę, którą kupił przed chwilą na ulicy.

— Tem lepiej, tem lepiej — mówił ajent policyi z zachwytem. — To musi być wszystko bardzo zajmujące i ciekawe. Co też uczeni mówią o pomyśle skromnego, pokornego Bernadeta? No zobaczymy za chwilę! Trzeba będzie przeczytać dziewczętom wszystko, co tu napisano. To się dopiero ucieszą!... Życie jest powieścią równie dobrą jak każda inna.



K O N I E C.

# KRONIKA.

**Nasza powieść.** Z dzisiejszym numerem kończymy powieść „Wzrok ofiary“, która tak się podobała naszym czytelnikom, że wielu z nich umyślnie do nas z pochwałami o niej pisało. W dwóch następnych numerach drukować będziemy zajmujące opowiadanie z wojny prusko-francuskiej, a potem zaraz zaczniemy drukować jedną z najlepszych powieści sławnego pisarza francuskiego Juliusza Werne. Powieść ta wychodzić będzie do końca roku, a zdobić ją będą piękne, umyślnie dla nas robione obrazki. Jest to najstosowniejsza chwila do rozpoczęcia prenumeraty przez tych wszystkich, którzy się dotychczas namyślają, a zebrać na to nie mogą. — Niech więc każdy, kto chce być nowym prenumeratorem, napisze w najbliższych dniach korespondentkę do Redakcyi (Kraków, ul. św. Tomasza 32) a odwrotną pocztą otrzyma czek pocztowy. Po nadesłaniu 4 koron, jako całoroczną prenumeratę, otrzymywać będzie *Rolę* aż do 1 maja 1911, chyba, że zażąda, aby mu przysłano wszystkie numery, które wyszły od Nowego Roku, co także zrobić możemy.

---

**Nowe korony częstochowskie.** Pisaliśmy już, że Ojciec Święty podarował narodowi polskiemu dwie szczerozłote korony z kosztownymi kamieniami dla cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i dla Dzieciątka Jezus. We czwartek dnia 21 kwietnia odbyło się w stolicy papieskiej w Watykanie uroczyste przyjęcie koron przez ogromną delegacyę polską. Obecnych tam było trzech Arcybiskupów i trzech Biskupów polskich, Jenerał OO. Paulinów z Częstochowy ksiądz Rajman i paręset Polaków świeckich, ze wszystkich stron naszej Ojczyzny. W ich imieniu złożył hołd Ojcu Świętemu Arcybiskup lwowski, X. Bilczewski, w pięknie ułożonej mowie, w której wyrażał wdzięczność narodu polskiego za dar i zapewniał o nigdy niesłabnącej wierności Polaków dla stolicy Apostolskiej.

Ojciec święty przemówił krótko a tak pięknie, że wszyscy obecni wzruszeni byli do łez, których powstrzymać nie mogli. Mówił, że cieszy go religijność i wierność Polaków, których kocha sercem całem. To też, po dokonanem w Częstochowie strasznem świętokradztwie, gdy się dowiedział, że cała Polska płacze nad zbeszczeszczeniem jej największej świętości, postanowił otrzeć te łzy. Dla pocieszenia drogich Polaków, mówił Papież, — pragnąłbym módz cuda czynić, ale gdy nie mam w sobie tej siły, z łaski Najwyższego, mogę jedynie zrobić to, na co mi moje ubóstwo pozwala i ofiarować nowe Korony. — Ojciec św. zakończył pięknemi, wysoce chrześcijańskiemi słowami, by złoczyńcę który skradł stare korony, dosięgło raczej miłosierdzie Boże, niż Jego sprawiedliwość, a może nawróci się i żałować będzie zbrodni której dokonał. — Po tej wniosłej przemowie pobłogosławił Ojciec św. obecnych, którzy wznieśli trzykrotny okrzyk na jego cześć.

Delegacya obywateli z Częstochowy wyjechała zaraz z drogim darem do domu. Przybyli tam w niedzielę a na dworcu kolei żelaznej oczekiwały przyjazdu tłumy około sto tysięcy ludzi liczące. Wielka procesya odprowadziła do klasztoru Jasnogórskiego korony, gdzie złożono je na wielkim ołtarzu podczas uroczystej sumy, a potem odniesiono do skarbca. Koronacya odbędzie się w dzień Trójcy św. w niedzielę po Zielonych Świętach.

**Rada państwa** rozjechała się na krótki urlop, uchwaliwszy rządowi ustawę pożyczkową. Ustawa przeszła także w Izbie panów. Następne posiedzenie Izby poselskiej odbędzie się dnia 6 maja.

**Napad na dwór.** Na dwór Mikołaja Krzysztofowicza w Załuczu nad Prutem napadła onegdaj w nocy szajka bandytów. Spłoszeni dali trzy strzały rewolwerowe, poczem udali się na wieś, włamali się do plebanii i zrabowali tam złoto, srebro, perły i strzelbę wartości około 2000 kor. Obrabowali również kierownika szkoły i jednego z gospodarzy, w szkole zaś rozrzucili wszystkie akta.

**Siostry syamskie w Pradze.** Do rozmaitych dziwów przyrody należą rodzące się czasem bliźnięta, zrośnięte ze sobą. Oczywiście dzieci takie rodzą się bardzo rzadko, a nazwano je syamskiemi, ponieważ pierwsi dwaj tacy zrośnięci ludzie, o których świat zasłyszał, pochodzili z Syamu w Azyi, w połowie przeszłego wieku. Jakiś przedsiębiorca obwoził ich po Europie i Ameryce i brał sute pieniądze od tych ciekawych, którzy schodzili się, aby widzieć to dziwo. Tak samo obwożą od kilku lat dwie siostry syamskie, Czeszki, Józefinę i Różę Blaszkówne, mające teraz po 34 lat. Każda z nich jest zupełnie rozwiniętą — nawet niebrzydką kobietą — tylko zrośnięte ze sobą skórą w samem biodrze. Otóż te siostry zrobiły się bardzo głośne w ubiegłym tygodniu, ponieważ jedna z nich, Róża, powiła niespodziewanie córeczkę.— Najdziwniejsze jest to, że Józefina nic nie wiedziała o tem, że jej siostra ma zostać matką. Obie, i matka i ciotka, bardzo kochają dziecko, a mają zamiar razem z niem się pokazywać za pieniądze. Będą teraz zarabiały więcej za to pieniędzy, bo dużo o tym wypadku gazety piszą i ludzie jeszcze bardziej są ciekawi ujrzenia tej dziwnej trójki, niż dawniej.



**Lueger i cygan.** Przed śmiercią burmistrza Luegera krążyła po Wiedniu historya proroctwa pewnego cygana o jego śmierci. Miało to być tak: W r. 1906 w jesieni zatrzymała się koło Wiednia banda cyganów i rozbiła przy drodze dwa namioty, w których mieli przepędzać noc. Pomiędzy namiotami zapalili ogień, na którym gotowali wieczerzę. Koło ognia siedział stary cygan, naczelnik bandy. Ten to poszedł do poblizkiej wsi i wdał się z pewnym kupcem w pogawędkę. Kiedy sobie obaj gawędzili, przejechał powóz w którym siedziało trzech panów, dwóch młodych, jeden stary z siwą brodą. Cygan na widok starego pana zadrżał. Kupiec to zauważył i zapytał o przyczynę tego przestrachu.

— Nie powinienem właściwie tego mówić! — odrzekł cygan, jednak w końcu dodał:

— Ten stary pan umrze dokładnie rok po mojej śmierci. Kupiec roześmiał się na to proroctwo, któremu wcale nie myślał wierzyć; powiedział także cyganowi, że ten stary pan to burmistrz Wiednia.

— Pan mi nie wierzy, rzekł cygan, dobrze więc, zarządzę, aby Pana o mej śmierci zawiadomiono, a potem czekaj pan jeszcze rok.

Cygan zapisał sobie adres kupca, powrócił do obozu i na drugi dzień banda powędrowała dalej. Krótko potem, z końcem października 1906 r. zachorował ciężko burmistrz, ale wyzdrowiał. Kupiec pomyślał o proroctwie wtedy, ale wnet o nim zapomniał. Tymczasem z początkiem marca zeszłego roku otrzymał on zawiadomienie z południowych Węgier o śmierci cygana. Przed swoją śmiercią kazał synowi to zawiadomienie napisać, jak również przypomnieć swoje proroctwo. Rok upłynął po śmierci cygana i sławny burmistrz Wiednia umarł. Zdaniem naszem wygląda to wszystko na ciekawą bajeczkę.

**Łowy na papugę w parku** ratuszowym w Wiedniu odbywały się w tych dniach przy wielkim zbiegowisku publiczności. Na wierzchołku jednego z najwyższych drzew parku kołysała się zadowolona papuga, która z poblizkiego domu uciekła.

Ponieważ jednak wrony podejrzanie nad jej głową krakać zaczynały, chciała gdzie w bezpieczne miejsce się ukryć; zaplątała się jednak łańcuchem, który do jednej nogi był przymocowany, w gałęzie i po krótkim szamotaniu się zwisła u gałęzi głową na dół. Z pomiędzy tłumu, który ucieszony przyglądał się daremnym wysiłkom papugi, odważył się jeden mężczyzna wyspinać na dwa piętra wysokie drzewo i uwolnił zbiega. Papuga jednak z przeraźliwym wrzaskiem poczęła dzióbem obrabiać rękę swego wybawiciela tak, że ten się ruszyć nie mógł. Dopiero drugi mężczyzna wyspinał się i ujął papugę tak, że się już ruszyć nie mogła. Po uciążliwej spinaninie zeszli obaj wraz z ujętym zbiegiem na ziemię.

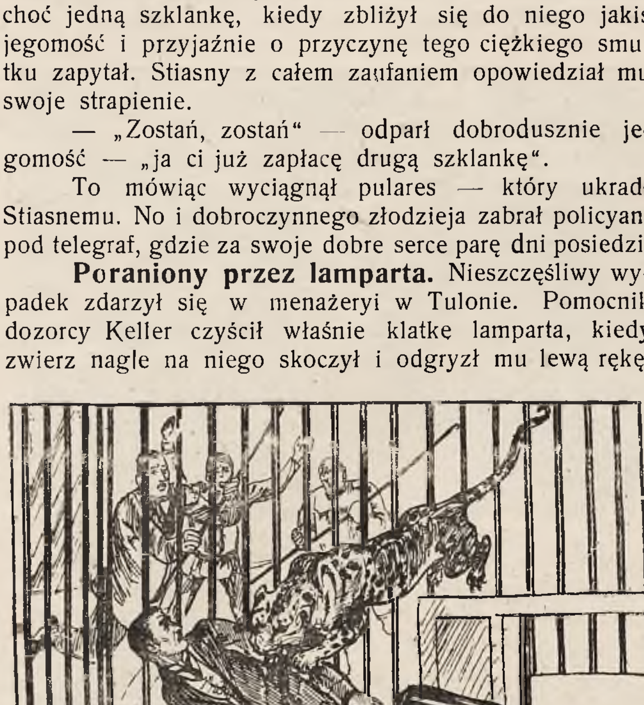
**Ojcobójca.** Na Średnim Śląsku zaszło okropne ojcobójstwo. 20-letni robotnik Paweł Pazelt zwabił swego ojca do lasu pod pozorem zbierania chrustu na grób matki. Tam starca w okrutny sposób zamordował i odebrał mu 11·50 marek zarobionej tygodniówki. Z temi pieniędzmi poszedł na zabawę i weselił się do samego rana. Ojcobójstwo się wykryło niebawem i wyrodek znajduje się już pod kluczem. Człowiek taki gorszym jest, aniżeli zwierzę.

**Litościwy złodziej kieszonkowy.** Niejakiemu Stiasnemu ukradł złodziej pulares z całą oszczędnością. Nic mu nie zostało, tylko dwadzieścia halerzy, za które zafundował sobie piwa, aby zalać żal za straconemi groszami. Zapłaciwszy, stał smutny nad pustą szklanką, rozmyślając żałośnie, jakby to dobrze było wypić jeszcze choć jedną szklankę, kiedy zbliżył się do niego jakiś jegomość i przyjaźnie o przyczynę tego ciężkiego smutku zapytał. Stiasny z całem zaufaniem opowiedział mu swoje strapienie.

— „Zostań, zostań" — odparł dobrodusznie jegomość — „ja ci już zapłacę drugą szklankę".

To mówiąc wyciągnął pulares — który ukradł Stiasnemu. No i dobroczynnego złodzieja zabrał policyant pod telegraf, gdzie za swoje dobre serce parę dni posiedzi.

**Poraniony przez lamparta.** Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się w menażeryi w Tulonie. Pomocnik dozorcy Keller czyścił właśnie klatkę lamparta, kiedy zwierz nagle na niego skoczył i odgryzł mu lewą rękę.



Stróżom, którzy na rozpaczliwe wołanie nieszczęśliwego przybiegli, udało się z wielkim trudem bestyę żelaznymi drągami odpędzić i ciężko rannego z klatki wynieść.

**Jak lud polski czyta...** ale nie w Galicyi. W Wielkopolsce i w Prusiech polskich oświata stoi wysoko, to też lud rolniczy i miejski jest zamożny, moralny, a silny tak, że znosi najcięższe uciemiężenie hakatystycznego rządu pruskiego i znieść się nie daje. Zawdzięcza to przedewszystkiem temu, że czytelnictwo gazet jest niezmiernie rozpowszechnione, a najbardziej czytane są pisma te, które się polityką nie zajmują, tylko dają swoim prenumeratorom strawę duchową pożyteczną a zajmującą. Jak tam rozpowszechnione są gazetki polskie, świadczy ogłoszenie urzędowe, podane niedawno przez *Gazetę Grudziądzką*. Oto pismo to liczy ni mniej ni więcej tylko 94 tysięcy 250 prenumeratorów, to jest trzy razy więcej niż wszystkie gazetki ludowe galicyjskie, razem wzięte! A Gazeta Grudziądzka nie jest wcale jedyną! Istnieją pod Prusakiem cztery gazety polskie, mające tak samo wielu czytelników. Oprócz tego jest kilkadziesiąt innych pism, które u nas nazywałyby się ogromnemi lub dużemi, a tam zwą się małemi. Mają one po kilka i kilkanaście tysięcy prenumeratorów. Kiedy to i lud polski w Galicyi zdobędzie się na takie wspaniałe czytelnictwo?

**Niewykryta zbrodnia.** Niedawno umarła w Hollensteinie niejaka Teresa Woniacz, która na łożu śmiertelnem poczyniła przerażające zeznania. Teresa mieszkała przed dwunastu laty w Galicyi, gdzie przy pomocy brata zamordowała swego męża, a za pieniądze pozostałe po mężu wyjechała z kraju, wynagrodziwszy poprzednio sowicie swego wspólnika. Chociaż władze zbrodni nie wykryły, chociaż zbrodniarka czuła się bezpieczną, mimoto uśmiech przez lat dwanaście nie zagościł na jej lice, szczęście od niej stroniło. Sumienie spędzało sen i spokój z jej czoła, aż nareszcie zmusiło ją przed samą śmiercią do wyznania swego okropnego czynu. Wtedy dopiero zdołała skonać.

**Piorun uderzył w balon!!** Taki straszny wypadek zdarzył się w ubiegłym tygodniu w Niemczech północnych, pod Bitterfeldem. Naturalnie gaz eksplodował i balon stanąwszy w płomieniach, runął na dół.



Jeden z wieśniaków wychodząc do stajni, gdy stanął w progu domu, usłyszał w górze najpierw piorun, potem głuchy silny huk, zdziwił się, ale szedł dalej. Po chwili przez strugi deszczu ujrzał coś spadającego do jego sadu. Zbliżył się i zobaczył kosz wagonu pod jednem z drzew, obok trupy trzech ludzi, a na drzewie zaczepione poopalane sznury i płachtę. Był to człowiek światły, poznał zaraz, że to nieszczęście balonowe, więc czemprędzej posłał po lekarza i do urzędu. Gdy się zbiegli ludzie, przekonali się że obaj nieszczęśliwi, którzy spadli z wagonu, nie żyją, a nadto na drzewie między gałęziami wiszą zwłoki jeszcze jednego człowieka. Wszyscy byli okrutnie poparzeni. Jak się okazało, był to jeden profesor, jeden weterynarz i dwaj kupcy, wszyscy z Lipska, których zaskoczyła straszna burza w powietrzu i pozbawiła życia na 1000 metrów nad ziemią.

**Porwane przez orła.** W pewnej wiosce tyrolskiej zginęło przed sześciu laty dziecko. Z początku myślano, że dziecko to porwała banda cygańska. Byli jednak i tacy, którzy twierdzili, iż widzieli ogromnego orła, trzymającego płaczące dziecie w swych szponach i unoszącego je w góry. Niechciano jednak temu wierzyć. W każdym razie zniknięcie dziecka było zagadką.



Dopiero tego roku jeden z właścicieli dóbr na polowaniu w górach natrafił na gniazdo orle, w którem znalazł szkielet dziecka i tuż obok szkielet wielkiego orła. Zbadano wprawdzie obecnie przyczynę zniknięcia dziecka, lecz co do śmierci orła istnieją różne przypuszczenia. Najprawdopodobniej padł on w walce o zdobycz z innymi orłami.

**Katastrofa balonu Zeppelina.** Całe Niemcy bardzo się teraz smucą. Chełpią się wielce swoimi kilkoma balonami wojskowemi, zbudowanymi przez hrabiego Zeppelina, i powiadają, że są to najlepsze statki powietrzne, jakie dotychczas wymyślono. Tymczasem okazało się, że ten najlepszy statek akurat tak samo się psuje jak i inne balony ze sterem, bo w poniedziałek ostatni balon zwany „Z II“ na skały o drzewa i strasznie się rozbił pod Limburgiem. Ludzie którzy lecieli balonem ledwie się uratowali. O odbudowaniu statku niema nawet mowy, tak jest potrzaskany, i Niemcy oprócz straty kilku milionów, najedzą się wstydu. Źle to jest chwalić się i wynosić nad innych, a Prusacy lubią to robić wobec wszystkich.

Gdy tylko przyszły pierwsze wiadomości o katastrofie, redakcya *Roli* zamówiła telegraficznie, aby jej przysłano fotografie z rozbitego balonu. Gdy tylko nadejdą pocztą i gdy będzie warto, damy z nich obrazek w przyszłym numerze.

**Jak powstają mowy ministrów.** Berliński sprawozdawca opowiada co następuje: Jeżeli kierujący mąż stanu albo inny podobny dygnitarz ma doniosłą, ważną mowę wygłosić przed sejmem, parlamentem lub izbą panów, to całemi dniami przed tem panuje w poddanej jemu władzy, gorączkowa czynność. Początek stanowią obrady nad ogólnem kierunkiem mowy, nad punktami wytycznemi mowy. Obrady te odbywają się z urzędnikiem, który ma najwięcej doświadczenia w tym kierunku. Kiedy to już ukończono, inny urzędnik wyszukuje potrzebne akta i daty i zestawia je w myśl mowy, której główne myśli przygotowuje potem znowu inny urzędnik starszy, który już wytrzymał na sobie ogień parlamentarny. Te główne myśli dostają się potem do ręki ministra, który je w niektórych miejscach poprawia i uzupełnia i tak uzbrojony staje do walki, a często zbiera oklaski za to co inni zrobili.

**Obrabowanie obrazu Matki Boskiej na Kremlu.** W dawnej stolicy carów rosyjskich, Moskwie, w katedrze na Kremlu, ukradziono z obrazu Matki Boskiej kosztowne brylanty i inne ozdoby. Brak kosztowności, pokrywających obraz Matki Boskiej Włodzimierskiej w soborze Wniebowzięcia na Kremlu, spostrzeżono we czwartek rano ubiegłego tygodnia. Skradzione kosztowności warte są około miliona rubli. Skradziono koronę i kolię z obrazu. Sukienka kosztowała 200.000 rubli, w koronie zaś znajdowała się olbrzymia perła. Okradziono również kopię obrazu N. M. P. Włodzimierskiej, znajdującą się w bocznym ołtarzu. Oprócz tego skradziono brylanty, zdobiące obrazy Wniebowzięcia Najw. M. P. i Zwiastowania. Wyjęto również brylanty z krzyża z figurą Zbawiciela. Ogółem zrabobowano 642 drogich kamieni. Kamienie sztuczne są nietknięte. Obrazy nie są zniszczone, widoczuie obchodono się ostrożnie. Przypuszczają, że złodziej zakradł się do świątyni wieczorem, a spełniwszy kradzież zrana, uciekł przez dymnik lub oknem.

Można sobie wyobrazić oburzenie Rosyan dla sprawców kradzieży, bo czem dla nas Polaków - katolików jest Matka Boska Częstochowska, tem dla Rosyan-schizmatyków Matka Boska Włodzimierska na Kremlu.

**Osobliwy pogrzeb** miał poseł do parlamentu niemieckiego Delbrück, który utonął skutkiem katastrofy z balonem „Pommern“. Podczas gdy zwłoki dwóch towarzyszy jego, którzy wtedy również życie utracili, wnet po nieszczęściu z morza wyłowiono, znaleziono zwłoki posła Delbrücka dopiero po długiem szukaniu, a wyłowił je pewien nurek. Ponieważ poseł Delbrück wobec żony nieraz wyrażał życzenie, aby w razie śmierci od nieszczęśliwego wypadku zwłoki jego pochowano w tem miejscu, w któremby go śmierć spotkała, przeto ściśle spełniono jego wolę. Ponieważ utonął w morzu (na wybrzeżu wyspy Rugii, około 4 mile morskie od miejscowości kąpielowej Sassnitz), przeto tam zwłoki wodzie oddano, Przewieziono je tam na parowcu „Moltke“ w trumnie cynkowej i w odnośnem miejscu je w morzu zatopiono.

**Stowarzyszenie ślepych.** W tych dniach odbyło się w Kolonii nad Renem zgromadzenie ślepych, którego celem było założenie stowarzyszenia ślepych dla prowincyi nadreńskiej.



Na początku przemawiało dwudziestu pięciu mowców przeciwko związkowi i żądali zaprowadzenia „reńskiego sejmu ślepych“, który ma być zwołany raz do roku i poświęcony agitacyi dla coraz większego przystępowania do towarzystw miejscowych, w których według zdania przeważnej części ślepych tak ekonomiczne jak duchowe interesy ślepych bywają najlepiej załatwiane. Po żywej bardzo dyskusyi został ten wniosek przez większość przyjęty.

**Uprowadzone dziecię.** W Berlinie zdarzył się się niedawno następujący tajemniczy wypadek. Małżeństwo Zawalińscy, będąc bezdzietni, wzięli na wychowanie pięcioletniego chłopca. Gdy pewnego dnia oboje małżonkowie oddalili się z domu, zajechały jakieś dwie dostatnio ubrane panie przed ich dom samochodem. Dowiedziawszy się, że Zawalińskich niema w domu, jedna z nich wywabiła chłopca na ulicę.



Gdy chłopiec był już przy samochodzie, panie owe wsadziły go do niego przemocą i szybko odjechały. Mimo poszukiwań, policya nie zdołała dotychczas wpaść na ich ślad.

**Ofiary olbrzymiej burzy.** Zatonięcie 800 rybaków. Podczas niebywałej burzy, jaka szalała na wybrzeżu Japonii, 50 łodzi rybackich zatonęło. Na łodziach tych znajdowało się około 800 rybaków. Wszyscy znaleźli śmierć w morzu.

**Dom polski w Jerozolimie** otworzył ksiądz Paciórek niedaleko Grobu św. Wszystkie narody chrześcijańskie posiadają już od dawna takie domy, gdzie pielgrzymi mogą mieszkać. Polacy jednak dotychczas na to się nie zdobyli. Na razie Dom pomieścić może tylko 30 pielgrzymów, niebawem ma być rozszerzony.

**Podatek na kawalerów.** Nadzieja kraju, to jest młodzieńcy, którzy ukończyli 30 lat życia a jeszcze nie żonaci, obłożeni zostali osobnym podatkiem... w Bułgaryi. Podatek ten pogłówny wynosi 10 franków (około 8 koron) rocznie, a z dodatkami gminnymi dochodzić będzie do 16 franków. Wniosek odnośny przyjęło zebranie jednogłośnie, dotknięci zaś nowym podatkiem kawalerowie podobno nie gniewają się. Widocznie mało jest w Bułgaryi „starych kawalerów“ z zasady, nie chcących ojczyźnie służyć jako ojcowie rodzin. Jedynie tylko z Tirnowy nadesłali kawalerzy petycyę z pewnem zastrzeżeniem. Tam bowiem istnieje starodawny zwyczaj, że w pierwszy poniedziałek Wielkiego postu wszystkich nieżonatych, co się nie pozaręczali przynajmniej w ubiegłym karnawale, biją co sił starczy... pęcherzami. Podobno w tym roku dostali ci kawalerzy szczególnie mocne napomnienie. To też zgadzają się na płacenie podatku pod warunkiem jedynie, że wtedy zakaże rząd stosowania rzeczonego starodawnego zwyczaju!...

Spodziewać się zresztą należy, że w odnośnej ustawie podatkowej uwzględniono też dobro kraju o tyle, że nie zniewalają do opłacania podatku kawalerów... suchotników, chorych na różne nieuleczalne choroby i t. p. z których jako ojców rodziny nie wielką miałaby ojczyzna pociechę!

Ciekawa rzecz czy podatek taki zdoła zmusić niechętnych do małżeństwa.

Sądzimy, że żaden podatek, ani inne sposoby nie zdołają zmusić niechętnych do żeniaczki. Potrafią to niezawodnie lepiej uczynić cnoty i zalety kobiet pragnących wyjść za mąż. A zresztą kto wie?

**Zafantowana lokomotywa.** Francuskie władze celne nie znają żartów, jeśli ktoś próbuje przemycać przez granicę zapałki. Jeden z dzienników francuskich donosi, że w tych dniach urzędnik cłowy zafantował belgijską lokomotywę, aby jej maszynistę zmusić do zapłacenia kary 635 franków, za przemycanie 30 pudełek zapałek. Lokomotywę wydano dopiero po 34 godzinach maszyniście, gdy karę zapłacił.

**Obłąkana królowa.** Jak donoszą pisma włoskie królowa portugalska dostała pomieszania zmysłów. Życie jej było, mimo tronu królewskiego, usłane samymi kolcami. Marya Pia Sabaudzka, tak się nazywa królowa, przed laty 10 straciła brata, króla włoskiego zamordowanego w Moncy. Syn jej i wnuk zginęli również podczas zamachu rewolucyjnego przed dwoma laty. Królowa ma obecnie 63 lat. Od tej tragicznej chwili, kiedy ujrzała ciało zamordowanego króla Carlosa i wnuka, widzenie to nie opuszcza jej. Chodząc po ogrodzie pałacu królewskiego Ajuda, rozmawia głośno z widmami, które nasuwają się jej chorej wyobraźni: z synem i wnukiem; czasem śmieje się znów i żartuje z nimi, czem najboleśniejsze sprawia wrażenie. Zresztą jej obłęd, tak jak u chorej królowej meksykańskiej, Karoliny belgijskiej, jest spokojny. Królowa Marya Pia zajmuje się podlewaniem kwiatów; podczas obiadu zwraca się z rozmową do zabitego syna, krórego widzi obok siebie. W nocy też chodzi po pokojach, rozmawiając z nieboszczykami. W r. b. upływa 50 lat, jak 17-letnia księżniczka sabaudzka wylądowała, w pełni młodości i urody, w Lizbonie, jako małżonka króla portugalskiego Ludwika I.

Nie jeden zazdrości może pozornego szczęścia ludziom bogatym, ale jakżeż to szczęście jest zwodnicze i nieuchwytne.

**Trafiła kosa na kamień.** Jednego z ostatnich dni wstąpił do pewnej karczmy na Górnym Śląsku, podróżujący R., aby się tam wypytać o drogę do Ligoty pod Katowicami. W toku rozmowy z karczmarzem zdradził się podróżujący, że ma przy sobie kilkaset marek. Nie spostrzegł przytem, że w kącie karczmy znajdował się jakiś podejrzany rzezimieszek, który to słyszał. Podróżujący wreszcie poszedł. W drodze przystąpił do niego ów rzezimieszek i zapytał się grzecznie:

— Dokąd pan idzie?

— Do Ligoty.

— No, to dobrze, to możemy iść razem.

Lecz wkrótce potem przybysz dobywa rewolweru i celuje do podróżującego, wołając:

— Dawaj pieniądze, inaczej zastrzelę cię.

Napadnięty dał mu pewną część pieniędzy, z tem zastrzeżeniem, że to nie jego pieniądze, lecz firmy.

Lecz rzezimieszek nie zna litości.

— Wszystko chcę — woła.

— No dobrze, lecz proszę — odpowiada spokojnie podróżujący — to niech pan będzie tak łaskawy i przestrzeli mi przynajmniej moje palto kilkanaście razy, które właśnie wieszam na drzewie.

Rzezimieszek się na to zgadza.

— Jeszcze raz niech pan strzeli do paletota — prosi podróżujący.

— Szkoda — powiada rzezimieszek — że nie mam już kul w rewolwerze.

— Ale ja mam — woła podróżujący i wydobywa rewolwer nabity, zwracając go do przelęknionego napastnika.

— Dawaj pieniądze z powrotem łotrze i marsz ze mną, bo inaczej z życiem nie ujdziesz!

Łotr widząc, że to nie żarty, dał się potulnie zaprowadzić aż do odwachu policyjnego.

# Zagadki do nagrody.

### 1. Zagadka.

(Nadesłał Józef Witek z Ś.).

Który święty ma cztery ręce i cztery nogi?

### 2. Łamigłówka.

(Nadesłał Franciszek Markiewicz z S.).

Z podanych niżej zgłosek utworzyć sześć słów, których początkowe litery dadzą nazwisko średniego miasta w Galicyi.

Bo, li, ra, ki, mi, ga, a, łość, wen, ka, ta, wa, san, tu, rę, na, o.

Znaczenie wyrazów: 1. Przyrząd do jazdy. 2. Imię żeńskie. 3. Cnota. 4. Imię męzkie. 5. Używana do lamp. 6. Część ciała ludzkiego.

### 3. Szarada.

Pierwsza nazwa miesiąca,
Drugą każdy okręt miewa.
Całość dobry rzemieślnik,
Czy robi z żelaza, czy z zwykłego drzewa.

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy jak zwykle piękną, oprawną książkę w nagrodę. Nagrodę wylosować może tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 7-go maja b. r. Adres: **Kraków, ul. św. Tomasza L. 32, Redakcya „Roli“.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 16 *Roli:* 1. Szarada: **Kocham cię** 2. Zagadka: **Umarłą pochowali oszuści (oszusty).** 3. Zagadka: **Skrzypce i smyczek.** 4. Łamigłówka: **Mickiewicz.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Zacna Autorka ze wsi, czy też z miasta —
Nie wiem, czy panna, czyli też niewiasta,
W swojej szaradzie kocha coś ogniście!
Kogóżby, jeśli nie Maćka Bzdurę oczywiście!
Wszak Maciek Bzdura nawet ze szlachcica;
Ma swój herb i pieczątkę „chama“
Ród jego stary, jak matki spodnica,
Bo sięga czasów Ewy i Adama.

(Za żart przepraszam).

*Piotr Lipowiak.*

2.

„Ko — cię“ znaczy pierwsze-trzecie —
O tem wszyscy dobrze wiecie!
Wstawić trzeba w środek tego:
„Cham“ — przeklęty syn Noego...
Całość wyraz bardzo błogi
A w miłości bardzo drogi.
Twórco, chociaż nie znam Cię,
Lecz okropnie: „Ko-cham Cię!

W lesie drzewo rosło,
Skrzypce zeń zrobiono
Koniowi na smyczek
Ogon ustrzyżono.
Lecz wszyscy przyznacie,
Wy, co skrzypce macie,
Że same nie grają,
Ani nie śpiewają!

*Karol Baron.*

* *

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Władysław Stefański z G., Michał Dudek z Ż., Leon Łętowski z S., Józefa Hirszberg z K., Stanisław Czerwiński z R., Wojciech Pierzchała z P., Stanisław Winkowski z P,, Jan Banach z B., Jan Stachura z S., Adela Bezokówna z K. m., Fran-

ciszek Giergielewicz, Antoni Kardysz z Ż., Władysław Moskal z G., Piotr Kiczek z G., Wojciech Sendyk z P., Stanisław Dec z K., Kazimierz Suchodolski z H., Jakób Śmietana z Ł.

* * *

Jako nagrodę wylosował piękną oprawną książkę z obrazkami Henryka Wernica p. t. **„Przygody w Sjamie“** p. Wojciech Sendyk w P.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

PP. Zarząd Czytelni w Czarnochowicach: A może prenumeratę policzyć od początku roku i wysłać nnmera od Nowego Roku, gdyż szkoda pięknych powieści. Prosimy odpowiedź. Piotr Lipowiak: Nie całkiem dobre. — Andrzej Dudek w D.: Wiersz umieścimy, lecz kiedy, trudno naprzód oznaczyć. Dziękujemy. — Leon Łętowski w S.: Wysłaliśmy na niedzielę ostatni jaki jeszcze był. Prosimy przy sposobności o wiadomość czy doszedł. — Michał Dudek z Ż.: Według życzenia wysłaliśmy. Będziemy starali odwdzięczyć się za poparcie. — Wojciech Sendyk w P.: Otrzymaliśmy 2 K 30 h., do końca roku należy się 1·70 K. — Piotr Kiczek w G.: Wysłaliśmy. Jan Boczarski w Z: Zastosowaliśmy się do polecenia. Dziękujemy. Władysław Ćwieka w T.: Wysyłamy — mamy nadzieję, że się spodoba. — Józef Byrski w R.: Odpowiedzieliśmy kartką korespondencyjną.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Ks. Stefan Pałamar z Szcz. (4 K), Władysław Dziwisz z W. r. (4 K), Artur Z. Cielecki z H. (8 K), Stanisława Kowalska z K. (2 K)., Jan Boczarski z Z. (3 K), Czytelnia T. S. L. w Czarnochowicach (2 K).

**Ceny bydła** na targowicy krakowskiej w dniu 26 kwietnia:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Buhaje | Kor. | 120 | do | 320 | za sztukę |
| Woły z paszy | „ | 210 | „ | 295 | „ |
| Krowy | „ | 95 | „ | 288 | „ |
| Jałówki | „ | 70 | „ | 180 | „ |
| Cielęta | „ | 20 | „ | 84 | „ |
| Owce | „ | 00 | „ | 00 | „ |
| Swinie | „ | 174 | „ | 180 | za 100 kg. |

# Targ na zboże
**zamknięty**
## z powodu świąt żydowskich.


**Towarzystwo Wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie**
**założone w roku 1860.**

Przyjmuje ubezpieczenia **od ognia, gradu i na życie.**

Fundusze gwarancyjne z końcem r. 1908:

**52,623,733 Koron**

**Siedziba Dyrekcyi Towarzystwa w Krakowie.**

**Reprezentacye:** we Lwowie, Czerniowcach i Bernie.
**Sekcye:** w Przemyślu, Rzeszowie, Stanisławowie i Tarnopolu, ponadto przeszło 400 Agencyi w różnych miejscowościach kraju. 57—8


Nauczyciel: — Ty hultaju, mówisz, że Marysia głupia: Powiedz, że tego żałujesz.

Walek: — Okropnie żałuję, że Marysia głupia.

Żydek: — Panie żandarm, ja zrobiał wielkie awanture!

Żandarm: — To pójdziesz do kozy. A cóżeś zrobił?

Żydek: — Ja dostałem po pisku i uczekniułem.

— Cóż stoisz na drodze, ty pijaku, i patrzysz w swe okna?

— Patrzę, czym jest w domu, ale zdaje mi się, że mnie niema, bo w oknach ciemno...


**Karty okrętowe!** **Polskie Towarzystwo Emigracyjne** otrzymawszy od rządu potrzebną koncesyę, otworzyło w Krakowie (narazie **ulica Kolejowa L. 3**) własne **Biuro podróży** gdzie sprzedawane są karty okrętowe do wszystkich portów zamorskich, północnej i południowej **Ameryki**.

**Wychodźcy, zwracający się do tego biura, otrzymają rzetelną poradę i unikną wyzysku i strat.**

Założone dla opieki nad wychodźcami Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie ułatwia znalezienie pracy w kraju i zagranicą i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro pośrednictwa pracy; opiekuje się ono także wychodźcami, udającymi się za morze, pouczając ich, kiedy, jak, którędy i dokąd jechać należy, i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro informacyjne w sprawach wychodźtwa zamorskiego i koncesyonowane biuro podróży; dla Polaków przebywających na obczyźnie utrzymuje przy głównem swem biurze bezpłatną wypożyczalnię książek; wydaje własną gazetę, poświęconą sprawom wychodźctwa p. t. „Polski Przegląd Emigracyjny“; utrzymuje bezpłatne biuro porady prawnej dla wychodźców, ułatwia im nabywanie książek, wypisywanie gazet, zakładanie towarzystw oraz załatwianie rozmaitych spraw w kraju, utrzymuje własne biura za granicą, wydaje przewodniki po obcych krajach i słowniki cudzoziemskich języków, ułożone dla użytku polskich robotników itd. itd. P. T. E. jest instytucyą bezpartyjną, mającą na celu wyłącznie dobro polskiego społeczeństwa i polskich wychodźców. — Kto więc udaje się za pracą na obczyznę lub wyjeżdża do Ameryki, powinien przedewszystkiem zwrócić się do

**Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie ul. Kolejowa 3.** 60—3

(Na dworcu kolejowym krakowskim stale przebywa przy nadejściu pociągu wysłaniec Tow. w uniformie z literami P. T. E.)



# Bank Ziemski
## w Krakowie
**(Rynek Nr. 25)**
**pośredniczy w kupnie i sprzedaży gruntów.**

# 100 morgów ornego gruntu
najlepszej jakości, w jednym kawałku, z dobremi spadkami i wystawą,
**można kupić na warunkach bardzo dogodnych.**

Wyjaśnień udzieli na żądanie 58—9

**Bank Ziemski w Krakowie.**

Zjednoczone austryackie akcyjne Towarzystwo żeglugi parowej

**AUSTRO-AMERICANA**

regularna i bezpośrednia



regularna i bezpośrednia

**KOMUNIKACYA**

**z Austryi do Ameryki, Kanady i t. d.**

ROZKŁAD JAZDY:

| **a) Z Tryestu do Nowego Jorku:** | | **b) Z Tryestu do Argentyny przez Rio de Janeiro:** | |
|---|---|---|---|
| Martha Washington | 30 kwietn. | Sofia Hohenberg | 5 maja |
| Alice | 14 maja | Laura | 26 „ |
| Oceania | 4 czerw. | Francesca | 16 czerw. |
| Argentina | 11 „ | Alice | 7 lipca |
| Martha Washington | 18 „ | Sofia Hohenberg | 28 „ |
| Oceania | 23 lipca | | |

Informacyi udzielają oraz sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają

JENERALNA AGENCYA

**GOLDLUST i S-ka**

Biuro spedycyjno-komisowe 56—11

**Kraków, ul. Lubicz 7** (naprzeciw dworca kolejow.)

Główna Reprezentacya **we Lwowie, ul. Na błonie l. 2,** oraz wszystkie prowincyonalne ajencye.

**Księgarnia Wojnara**

W KRAKOWIE

posiada na składzie wielki wybór dzieł powieściowych, historycznych, rolniczych, prawniczych i t. p. tudzież **NUTY** również w wielkim wyborze.

**Główny skład wydawnictw ludowych, książek do nabożeństwa, kalendarzy.**

Katalogi wysyła się darmo i opłatnie.

Księgarnia poleca szczególnie nowe dzieło:

**„Sprawa włościańska w Polsce porozbiorowej"**

*przez Stanisława Lubicza,* stron 326,

**cena 3 kor. 20 hal.** 52—6

Adres zamówień:

**Księgarnia WOJNARA w Krakowie**

**ulica Szewska L. 20/2.**

**W szkole.**

Nauczyciel: — Czem się odznaczył Bolesław Krzywousty?

Uczeń: — Tem, że jego ojciec miał syna.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści pięć.

— A ja czterdzieści.

— No, to za pięć lat będziemy w równym wieku.

— Jak mogłeś za taką nędzną sumę zabić bliźniego?

— Tak to bywa, — odrzecze łotr — gdy człek zanadto dobre ma serce.

**Bank Ziemski w Łańcucie**

Przyjmuje wkładki na rachunek bieżący, począwszy od 100 kor. wyżej i opłaca od złożonych pieniędzy **5 procent** z półrocznem oprocentowaniem.

Z rachunku bieżącego Bank wypłaca:

| | | |
|---|---|---|
| Bez wypowiedzenia do kwoty | . . . . | 500 K |
| za 8-dniowem wypowiedzeniem | . . . do | 1.000 „ |
| „ 14 „ „ | . . . „ | 3.000 „ |
| „ 30 „ „ | . . . „ | 5.000 „ |
| „ 60 „ „ | . . . „ | 10.000 „ i wyżej. |

Od kwot ponad 1.000 koron za 3 miesięcznem wypowiedzeniem opłaca Bank po $5^{1}/_{2}\%$ od sta, za 6 miesięcznem wypowiedzeniem opłaca Bank po 6% od sta.

**Na złożoną gotówkę w rachunku bieżącym wydaje Bank książeczki wkładkowe.**

Podatek rentowy od złożonych pieniędzy opłaca Bank z własnych funduszów.

Dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, zamiejscowym dostarcza Bank czeki poczt. Kasy Oszcz.

**Bank urzęduje codziennie od godz. 9 do 12 przed i od 4 do 7 po południu, z wyjątkiem niedziel i świąt rzym.-kat.**

51—18 DYREKCYA.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.